

Poemat ulicy

Szedłem wieczornym Nowym Światem,
ulicą spokrewnioną ze mną.
Szedłem gdzieś w zawieszeniu między chmurami wyobraźni
a realnością chodnika.
Zapatrzony w dynamikę żyjącego miasta,
chłonąłem oczami perspektywę
– która wpierw wchłonęła mnie.

Kocham wieczorne pejzaże miast
nasycone migoczącymi światłami neonów.

Rozgwieżdżone tworzyły odrębną konstelację.
Mleczne drogi neonowych ławic światła
migotały we mnie.

Dwustronny strumień samochodów przesuwiał się
zwartym nurtem koryta ulicy
– element krwioobiegu miasta.
Tuż koło urwiska linii brzegowej chodnika,
po którym stawiałem kroki.

Piki metalowych słupów dźwigają kapeluszowe latarnie,
które pocą się białą-elektrycznym potem żarówek.
Rozpraszają gasnącą czerń
wyłoniłą z wczesnych zachodów późnej jesieni.
Zmęczone słońce, odprowadzane przypadkowymi spojrzzeniami przechodniów,
odpłynęło horyzontem, by wykonać pracę po drugiej stronie globu.
Staruszek siwy księżyc na nocny spacer się szykuje.

Widziałem ludzi, którzy szli w różnych kierunkach.
Obraz wydawał się uskromnionym karnawalem
– powszedniego dnia.
Wieczne miasta mają w sobie coś z karnawalem.

Szklące wystawy sklepów odpowiadają wzrokiem
wpatrzonym przechodniom.

Ciepły listopadowy wieczór nie był uciążliwy,
tylko wcześniejsza ciemność zdawała się przypominać o porze roku.

Dochodzę do skrzyżowania na Krakowskim.
Wymijam wzrokiem poprzeczną ulicę
dźwigającą bolesną pamięć,
odartą ze skóry ulicę o chrześcijańskiej nazwie i stalinowskim obliczu.
Za nią widok:

– Krakowskie!

Idę, niosę ze sobą całą tęczę poematu.
Idę w kierunku dwuposągowej bramy z serpentynową kratą
i uczelnianym orłem.

Patrzyłem przed siebie.
Tym razem nie przykuła mego wzroku
klasycystyczna sylwetka pomnika
astronoma z globusem nieba,
pomnika, któremu przed laty przestrelono rękę.

Tego wieczora nie zdoła uwieść moich źrenic
Thorwaldsenowska precyzja kształtu.

Dziś przepelnia mnie lubieżnie orgia życia.

Gdzieś koło sylwetki kościoła
z Chrystusem, którego kiedyś przewrócono
– szli ludzie.

A ja!

– Widziałem ją!

Nie pamiętam jej stroju, możliwe, że była ubrana w sukienkę.

Nie zapamiętałem twarzy,
chyba była ładna,
choć nie była piękna.

– Szła.

Na wyciągniętym uchwycie ręki,
w wazonie dłoni
niosła purpurowy bukiet nieskrywanych uczuć.

Nie kwiaty mnie uwiodły, nie dziewczyna
– lecz uczucia bezwstydnie obnażone na widok przechodnia.

Będą teraz kolorami gorąca
żarzyć się na jej stoliku.

.....
.....
.....

Śmierć poety

Umarł, a w nim zmarły karty,
jak umierają słowa, w powietrzu cicho gasnąc iskrą.
Zginęły w nim karty, których nie zdążył zapisać.

Nie był zbyt pracowity, w istocie wszystko odkładał na później,
zupełnie jakby wierzył, że istnieje jakieś później.
Jakby wierzył w drugą szansę.

Rankiem wyszedł w pośpiechu, nie zdążył
zapiąć swetra doświadczeń
(życiowych nauk).
Bagaż wspomnień upchnął w torbie
poranną gazetą.
Najświeższe wiadomości w zasadzie
w chwili podania do druku były już historią,
ale ta codzienność czytana w tramwaju,
czytana z gazety, chrzęstu kół, szumu samochodów,
gwaru rozmów, dawała zapomnieć o własnym istnieniu.

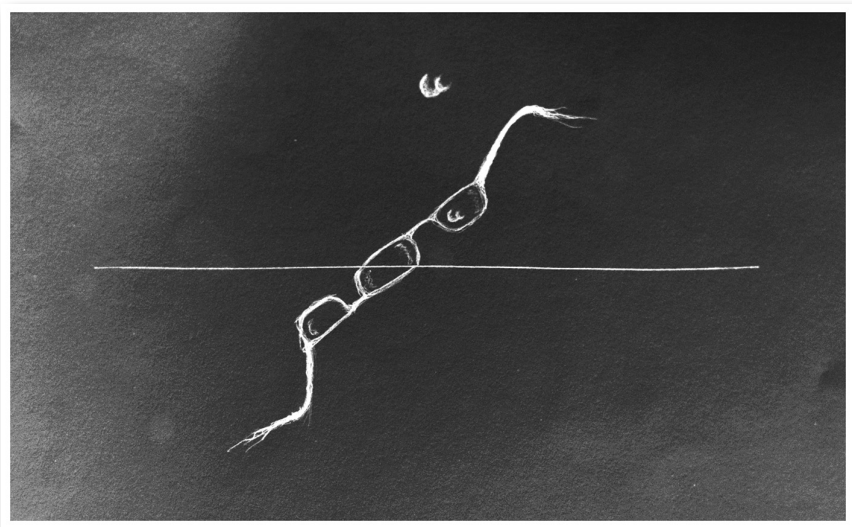
Rankiem wyszedł z domu swego urodzenia.
Przeszedł kilka ulic,
doszedł wieczorem na cmentarz
– by odpocząć.
Szedł beztroski, mało w życiu dokonał.
Jak dziecko powtarzał sobie wciąż to samo zaklęcie
– przecież jeszcze masz czas.

A mur był dwie przecznice od niego.

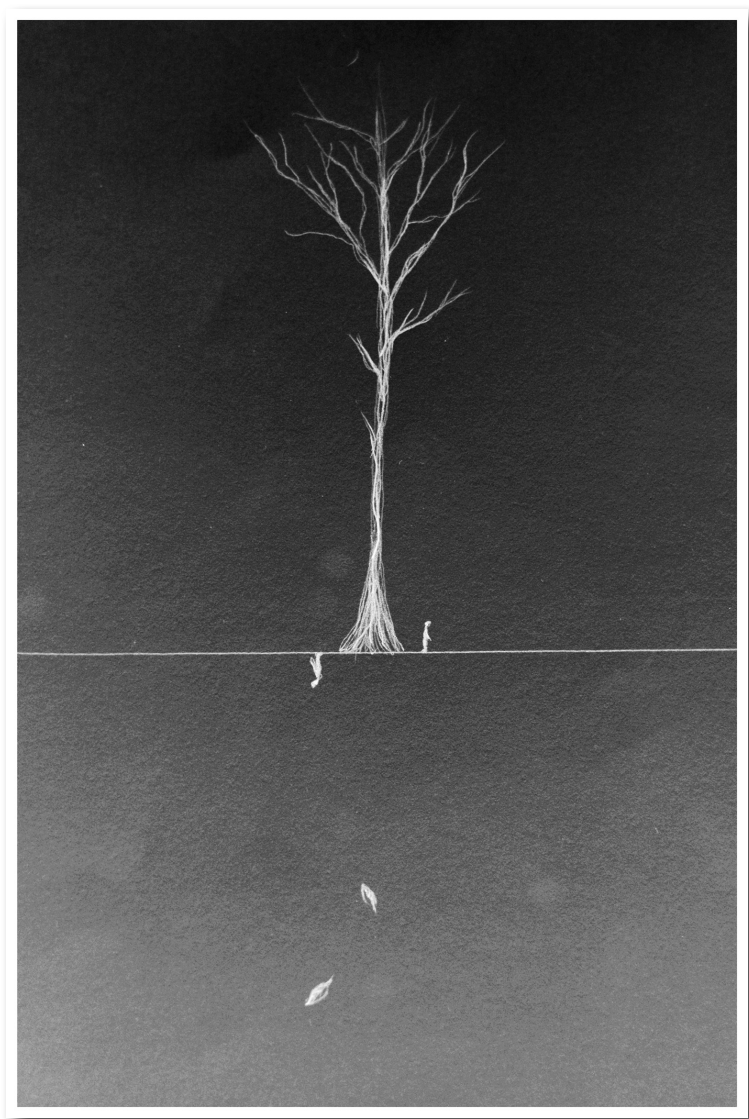
Położył się do snu jakby bezboleśnie.
Śpi światem odziany, co mu się przyśni we śnie?
Ziarnko piasku, co w pustkę oczodołu wpada?

Mennica przyrody

Ocean nieba
buchalterzy chmur
dzielą
na wodnisty bilon kropel deszczu
i obdzielają ziemię jałmużną życia,
by cudem narodzin odrodzić cykl śmierci.



Grafika, Agnieszka Muszyńska



Grafika, Agnieszka Muszyńska